

SZYMON SUTOR

# KRONIKI MORIONU

TOM I  
DZIEDZICTWO KRÓLÓW



BookEdit



SZYMON SUTOR

# KRONIKI MORIONU

TOM I

DZIEDZICTWO KRÓLÓW

Copyright © Szymon Sutor, 2026

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracje na okładce: © stock.adobe.com

Redakcja: Anna Godlewska

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 9978-83-68750-40-9

Wydawca

**BookEdit**

tel. 512 087 075

e-mail: [redakcja@bookedit.pl](mailto:redakcja@bookedit.pl)

[www.bookedit.pl](http://www.bookedit.pl)

[facebook.pl/BookEditpl](https://facebook.pl/BookEditpl)

[instagram.com/bookedit.pl](https://instagram.com/bookedit.pl)

*W hołdzie bezimiennym, przyćmionym przez wielkich, a którzy krwią swą wygrywali wojny.*

– Oto on, Wagnar Rivvengard, pierwszy król rodu obrońców ludzkości, pierwszy z czempionów, król miasta Girloy, zwycięzca wojny dzielnicowej. Pokłońcie się temu, który dzierży władzę w imieniu ludzi. Od dziś on służy wam, a wy służycie jemu. On jest waszą tarczą, wy jego mieczem – rzekł Merlin, nakładając koronę na głowę króla.

Wtedy nowo koronowany monarcha przemówił, czym zaskoczył zebranych.

– Jestem waszym królem, a wy moim ludem. Niosę wam światło, które wskaże drogę ku pokojowi i chwale. W moich rękach spoczywa wasze jutro, w waszych – moje życie. Od dziś w naszych dłoniach waży się los świata.

Fragment Girlońskiej kroniki królewskiej

# Prolog



# Nim rozpoczęł się sztorm

## *Opowieść ocalałych*

Przez ostatnie dni wiatr nie dawał im spokoju. Towarzyszył im od świtu do zmierzchu, szarpiąc korony drzew i niszcząc namioty. Wraz ze wzburzonymi wodami otaczającymi Wyspę Sztormów próbował pochłonąć ląd i wciągnąć go w głębiny. Jednak wyspa trwała, dzielnie opierając się jego naporowi.

W ostatnich dniach girloańska załoga ukończyła budowę drugiej przystani rozładunkowej. Jedni przez cały dzień rąbali drewno i wznosili palisadę, inni kopali wokół niej płytką fosę, którą ulewy zdążyły zamienić w błotnistą kałużę. Piąty fort był już podobno niemal gotowy.

*Mhm, już to widzę. Jak tak dalej pójdzie, to nie uwiniemy się do Nocnego Słońca, a portal ciągle jest niezabezpieczony.*

Joanna miała swoją kwaterę w drugim, największym obozie na wyspie. Stacjonowało tam niewiele ponad pięciuset ludzi – głównie piechurów, saperów i dowódców. Dni spędzali na budowie nowych fortyfikacji i naprawie starych, nocami zaś gromadzili się przy ogniskach, opróżniając magazyny z resztek zapasów. Każdy dzień wyglądał tak samo: sztormy, ulewy i lodowaty wiatr, przenikający do kości.

Do uszu Joanny coraz częściej dochodziły głosy niezadowolenia. Za każdym razem obiecywała żołnierzom, że wkrótce opuszczą to mokre więzienie i wrócą do Girloy. Sama zresztą chciała je wreszcie zobaczyć.

Tego wieczora siedziała samotnie przy ognisku, obserwowała pijących żołnierzy i wsłuchiwała się w rozmowy dobiegające z wielkiego, błękitnego namiotu. Od tak dawna był jej domem, że przywykła do dziur w płótnie, wilgoci i zimna, przed którymi nie był w stanie jej uchronić.

Słyszała, jak jej dowódcy omawiają postępy prac. Joanna unikała tej rozmowy tak długo, ile tylko mogła. Wiedziała już, że są daleko od osiągnięcia chociaż połowy tego, czego oczekiwała Wielka Rada.

Gdy kolejny powiew lodowatego wiatru uderzył ją w twarz, miała już dość. Wstała, otrzepała swój błękitny płaszcz legatki i ruszyła przed siebie. Pod nim nosiła zużyty skórzany mundur i kolczugę wzmocnioną metalowymi płytkami na barkach, klatce piersiowej i udach. Jej głowę zdobił ciężki oficerski hełm z dwoma błękitnymi pióropuszcami.

– Cały czas brakuje drewna do naprawy północnego muru – usłyszała rozmowę dobiegającą z wnętrza swego namiotu.

– W tych warunkach to cud, że cokolwiek udaje się zebrać.

Te rozmowy nie wróżyły niczego dobrego. *Kane ma rację*, pomyślała. Przy takiej pogodzie nawet rozmowa była wysiłkiem, nie wspominając już o budowie i zbieraniu surowców.

Joanna odchyliła połę namiotu i zobaczyła trzech młodszych legatów w pancerzach jak u girloańskich oficerów. Z ich hełmów zamiast pióropuszy zwisały błękitne pompony. Dwóch siedziało na drewnianych krzesłach, a jeden opierał się o pal podtrzymujący płócienny dach, z którego sączyły się strużki wody. Na stole dopalały się dwie karłowate świece, dające nikłe światło, które ginęło w przenikającym wszystkim chłodziu.

– Panowie.

Kane zauważył ją pierwszy. Był nieco młodszy od niej – niski, szczupły blondyn o wyraźnych rysach twarzy i zielonych oczach. Na jego sygnał Dan i Leonard niechętnie podnieśli się z miejsc.

– Siadajcie – poleciła. Bez chwili wahania wykonali polecenie. – Na czym stoimy?

– Na kupie gówna – odpowiedział Daniel, krzyżując potężne ramiona na piersi. Nie był daleki od prawdy.

– Piąty fort wciąż jest w budowie, zgodnie z rozkazem sprzed tygodnia. – Kane okazał się nieco bardziej konkretny.

– I jak im idzie? – zapytała Joanna. Poza piątym fortem musiała pilnować jeszcze czterech pozostałych. *To będzie długa noc.*

– Dziś rano stało tam kilka lepianek. Do wieczora połowa się zawałiła, a resztę zalała deszczówka – kontynuował Kane. – Południowa palisada zaczyna się sypać, a wschodnia i północna właściwie już nie istnieją.

– To cholernie frustrujące, nie uważasz? – dorzucił Leo, chudy, wysoki brunet o lisiej twarzy. – Nasi ludzie tkwią tu od kilku miesięcy. Przetrwali zimę, potem roztopy... wszystko po to, żeby w kółko kopać dziury w ziemi.

– Nawet jeśli, to nasz obowiązek – odparła. – Rada kazała nam bronić wyspy, zabezpieczyć portal i zbadać źródło wiru. I zrobimy to, choćbyśmy musieli rozkopać całą tę wyspę.

– Och, rzeczywiście. Wybacz, że zapomniałem. Te kamienne drzwiczki każdego dnia napawają mnie zgrozą i przerażeniem.

*Jesteś bardzo zabawny, Leo, przemknęło jej przez myśl.*

– W takim razie sprawdź, czy wszystko z nimi w porządku. Najlepiej wy obaj. – Joanna wskazała na Dana i Leonarda.

– Wedle rozkazu, pani legat. – Leonard uklonił się pogardliwie. Dan wyszedł bez słowa.

Gdy dwa krzesła się zwolniły, Joanna złapała za jedno i dosunęła je do drugiego. Zdjęła z głowy hełm, uwalniając długie, jasne i poplątane włosy, które się pod nim kryły.

– Mają trochę racji – powiedział Kane.

– Trochę? – Joanna usiadła i wyłożyła nogi na drewniany taboret, przeciągając się. Dobrze wiedziała, co czują jej ludzie. W niej samej od dawna kipiał gniew. – Gnijemy w tym bagnie pewnie z rok. Sama nie pamiętam.

– Półtora – poprawił ją dowódca czwartego obozu.

– Mała różnica – rzuciła.

*Ogromna. Półtora roku...* zmiany wart miały trwać najwyżej dwa miesiące. Od tamtej pory zmieniono je tylko kilka razy i obejmowały głównie zwykłych żołnierzy i korpus inżynierów.

– Robią to specjalnie – powiedziała Joanna, przerywając krótką chwilę ciszy.

– Kto? – zapytał Kane.

– Czarodzieje, a kóżby inny? Starzy mają aż trzy głosy w Radzie, Landmark i ta Eliara słuchają każdego ich słówka. Giles ma tylko siebie, Hallsteina i Crimblade'a. Mówię ci, że gdyby nie oni, dawno byśmy opuścili to przeklęte miejsce.

– Och, przestań już o tym...

– Niby czemu? – Joanna wstała. – Naprawdę tego nie widzicie? Trzymają nas tu jak zwierzynę w klatce.

*Bo jestem problemem.* Kane o tym wiedział, bo tylko jemu powierzyła swój sekret.

– Trzeba było nie wtrącać się w ich sprawy. Po prostu przesadziłaś i teraz wszyscy ponosimy tego konsekwencje.

Joanna stała jeszcze przez chwilę, potem bezsilnie opadła na krzesło.

– Gdyby ukoronowali Gilesa, nie byłoby tych problemów.

*Bylibyśmy razem. Ja i on. Rządzilibyśmy tym miastem i żadna rada nie mogłaby nam przeszkodzić. Co ja mówię, nie byłoby żadnej rady.*

– Ale go nie ukoronują. Od czasów jego ojca żaden ze starszych nie patrzył przychylnie na jego królewską krew – dorzucił pogardliwie.

– Ale on jest inny – westchnęła. – Widziałam to w nim, kiedy jeszcze pojedynkowaliśmy się drewnianymi mieczami.

– Najwyraźniej czarodzieje widzą to inaczej.

Joanna spojrzała na młodszego legata ze zdziwieniem.

– Po czyjej ty jesteś stronie?

Kane westchnął z irytacją.

– Po stronie Girloy, jak wszyscy tutaj. Posłuchaj, każdy z nas chciałby wrócić do domu i zostawić to zatęchłe bagno za sobą. Ale rozkaz to rozkaz. Nic na to nie poradzisz.

*To jakieś pieprzone więzienie.*

– Zawsze można coś poradzić. – Odruchowo zacisnęła pięść i uderzyła się w udo.

Tym razem to Kane spojrzał na nią zaskoczony.

– Sugerujesz... bunt?

– Sam mówiłeś, że z chęcią przepłynęlibyście wodę. Proszę bardzo.

– Nie, Joanno. To byłoby zwykłe samobójstwo. Tutaj możesz ich jeszcze przekonać – dobrze o tym wiesz. Ale prawda jest taka, że mamy tylko barki transportowe. Co zrobisz, gdy na horyzoncie pojawi się Szkarłatny Postrach?

– Chcesz zdechnąć na tej jebanej wyspie?! – Nie chciała krzyczeć, ale słowa same wyrwały się jej z ust.

Z zewnątrz dochodziło tylko miarowe zawrodoenie wiatru i stukot kropel deszczu uderzających o namiot. Z czasem wszystko jednak zaczęło cichnąć.

– Nieźle – powiedział po chwili Kane, gdy zapadła wokół nich głucha cisza.

– Ta wyspa chyba cię słucha.

– Być może masz rację – westchnęła z uśmiechem. – Wybacz.

– Nie mam czego. Doskonale cię rozumiem.

Świat pograżył się w ciszy. Joanna miała nadzieję, że ta noc okaże się spokojna. A jednak gdzieś z tyłu głowy wiedziała, że to tylko chwila – że zaraz znów uderzą błyskawice, zerwie się wiatr i spadnie ulewa... Nic z tego się jednak nie wydarzyło. *Ale się wydarzy. To w końcu Wyspa Sztormów.*

– Zapowiada się cicha noc. – Kane podszedł do kufra leżącego pod ścianą namiotu i wyciągnął bukłak z winem. Pociągnął długi łyk, po czym rzucił go Joannie. Wypiła trochę, znacznie mniej niż on.

– Racja – skłamała, choć bardzo chciała, by tak właśnie było.

Wino było mętne i rozwodnione. Z pewnością nie pochodziło od Różanej Królowej, raczej z nędznych winiarni Wielkiej Puszczy lub, o zgrozo, ze stepów.

– Paskudne. – Kane wziął kolejny łyk.

– To po co je pijesz?

– A jest co innego?

Nie było. Pili zatem paskudne wino.

Z zewnątrz dobiegły ich ciche śpiewy girloańskich żołnierzy. W ich głosach mieszały się radość i smutek, krzyki i pomrukiwania. Każdy śpiewał inaczej, a pieśń niosła się ku czarnemu niebu. Nawet Kane dołączył, intonując *Umarłą z miłości*.

– Lepiej radzisz sobie z mieczem – rzuciła wreszcie Joanna, nie mogąc słuchać jego fałszów. – Nie kalecz tej pieśni, proszę.

– Każdy może śpiewać – odparł.

Wtedy uderzył grom. Ciche pomruki szybko przerodziły się w ogłuszający ryk, jakby niebo miało się za chwilę zawalić.

– Patrz, co narobiłeś! – krzyknęła.

Oboje zaczęli się śmiać.

Grzmoty uderzały miarowo, a wichur huczał wśród drzew i z piskiem wciskał się do środka przez szczeliny. Kane śpiewał dalej, wtórując burzy.

– Ciszej, Kane.

– Bo co? – odparł, ale i tak umilkł.

Joanna wstała i w skupieniu nasłuchiwała. Przez huk burzy trudno było cokolwiek wychwycić. A jednak...

Kane również się podniósł i stanął obok.

– Słyszysz coś? – szepnął.

Joanna nie odpowiedziała. Słyszać było jedynie jednostajny szum wichru. Raz... drugi... i jeszcze raz.

– Chwila... – Kane położył dłoń na rękojeści miecza. – Czy to nie są...

– Trąby – wyrwało się Joannie.

Uśmiechy zniknęły im z ust. Oboje dobyli mieczy i rzucili się do wyjścia. Niebo pobielalo od błyskawic. Śpiewy ustąpiły miejsca krzykom, a żołnierze rozpierchli się po namiotach – najwyraźniej również usłyszeli alarm.

Rogi cały czas wygrywały swe przerażające pieśni.

– Który to obóz? – krzyknęła.

– Trzeci! – ryknął Kane w odpowiedzi. – Spieszmy się, tam jest portal!

Niebo przecięła błyskawica – tym razem purpurowa – która uderzyła gdzieś na lewo od nich. Zaraz potem spadły kolejne, raz po raz trafiając w ten sam punkt ukryty za ścianą rosnących dębów. *Cholera, przecież jest właśnie tam!*

Gdy Joanna i Kane znaleźli się wśród drzew, obok nich biegła nieskładna kolumna girlońskich żołnierzy. Niektórzy mieli na sobie tylko wzmocnioną skórę, inni kolczugi i pancerze. Odgłosy grzmotów mieszały się z hukami rogów, które cały czas nieprzerwanie wzywały obrońców do walki. *Oby nie było za późno*, prosiła w duchu Joanna.

Gdy wreszcie zobaczyła portal, zatrzymała się. *Pilnować, żeby się nie otworzył... łatwo powiedzieć.*

Kamienne wrota, wysokie na kilkanaście metrów, wyrosły u podnóża najwyższego wzgórza na wyspie. Purpurowe błyskawice raz po raz w nie uderzały, wypełniając je różowo-fioletową, płynną taflą podobną do szkła i pokrywając skałę nieznanymi Joannie runami.

– Na przeklętych bogów – wysapał Kane, gdy do niej dołączył. – Co to jest?

– Nasze przerażające, kamienne drzwiczki.

Odgłosy walki dotarły do niej dopiero po chwili, kiedy z fioletowej tafli portalu zaczęli wybiegać ludzie.

Joanna ruszyła przed siebie, mocniej zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Z nieba lunął rześisty deszcz, zmieniając ziemię w błotnistą breję. Niektórzy żołnierze gubili w niej buty, jednak nikt się nie zatrzymał.

Mijała łuczników, którzy wypuszczali kolejne strzały w stronę portalu. Fioletowa tafla rozszerzała się, ilekroć uderzały w nią błyskawice. Im bliżej podchodziła, tym więcej żołnierzy do niej dołączało. Kilkanaście metrów przed nią rozgorzała już walka. Gdy podbiegła, spostrzegła, jak jeden z jej ludzi dźga halabardą innego w plecy i przygniata go do ziemi.

– Co ty wyprawiasz! – wrzasnęła, nie mogąc pojąć, co właśnie ujrzała.

Żołnierz odwrócił się gwałtownie. Jego twarz przecinała krwawa szrama, a w kolczudze widniało kilka dziur

*To stary krój munduru*, pomyślała, nie zwracając uwagi na rany walczącego. Zza jego pleców wybiegł kolejny, tym razem ubrany w fioletowy płaszcz i niedźwiedzią skórę. Widziała takich w szkole legatów. *To Drakartczyk. Co on tu...* Jego prawa ręka była odcięta aż do łokcia.

Joanna nie zastanawiała się dłużej. Skoczyła do przodu i z gracją przecięła go na pół. Z Girlończykiem trwało to nieco dłużej. Walczył tak, jakby pierwszy raz w życiu trzymał halabardę. Jego czarna krew wkrótce zmieszała się z błotem.

Jej żołnierze radzili sobie nie gorzej od niej samej. Fala za falą, kolejni przybysze rozbijali się o mur z tarcz, mieczy i włócznie, a każdemu natarciu towarzyszyły ryki furii i radości.

– To lepsze niż trening z kukłą! – Usłyszała czyjś krzyk, po którym niektórzy wybuchli gromkim śmiechem.

*Uda się nam*, pomyślała nagle.

Wtedy z portalu wybiegł nimroid i wbił się w ich szyk, wymachując potężnymi łapskami, w które wetknięto zardzewiałe ostrza. Za nim pojawiały się kolejne stwory, które były zaledwie ruchomymi wysepkami w morzu biegnących trupów. Na niebie zauważyła latające wielkie zgnilce.

Joanna gapiła się na nie z niedowierzaniem. Wszystkie te bestie pochodziły z Żelaznej Pustyni, a ta leżała setki kilometrów stąd. Dla jej ludzi na szczęście nie miało to znaczenia. Girlończycy już wkrótce powalili pierwszego potwora, szpijąc jego masywne cielsko dziesiątkami strzał, bełtów i włócznie.

Żywy potok nie zatrzymywał się jednak. *Nie mam wyjścia*. Joanna przyklękła i zamknęła oczy, uwalniając dar czempiońskiej magii. Pociągnęła palcami po zakrwawionym mieczu, który stanął w płomieniach. Jej oczy również rozblęskły czerwono-pomarańczowym światłem. Pędzona furiją ruszyła do przodu, wycinając sobie drogę wśród biegnących i zostawiając za sobą woń spalenizny i śmierci. Wśród jej ofiar znaleźli się żołnierze wszystkich armii: glewijnicy z Małego Stepu, berserkowie z Drakartu, eliarscy pikinierzy czy xiańscy legioniści. Wielu było okaleczonych, nie miało rąk, nóg czy twarzy. Dla niej nie miało to znaczenia i z niezmaconą wytrzymałością zadawała kolejne ciosy.

Gnana bitewnym szaleem zostawiła ludzi z tyłu. Kane, który dotrzymywał jej kroku, w końcu również zniknął jej z oczu. Nie mogła się jednak zatrzymać.

Czuła wzbierające ciepło, które przeradzało się w trudne do opanowania wybuchy. Jej miecz płonął coraz jaśniej, a oczy żarzyły się czerwonym ogniem. Wycinała sobie drogę pomiędzy maszerującymi truposzami, zbliżając się do otwartego portalu.

I wtedy go zobaczyła.

Z fioletowego jeziora wyłonił się człowiek dwukrotnie przewyższający innych. W dłoni dzierżył wielką, zakrzywioną glewię ozdobioną czaszkami. Jego zbroję pokrywały liczne kolce, a klatkę piersiową osłaniały sterzące żebra. Biodra osłaniał mu płaszcz z twardej, czarnej skóry, który powiewał na wietrze. Na głowie miał hełm z wielkimi rogami oraz z przyłbicą ze stalowych haków, pomiędzy których łypały na nią dwa ogniste punkty. Każdy jego oddech uwalniał podmuch żaru, a kroki pozostawiały języki płomieni, choć ziemia była mokra od deszczu.

– Spodziewałem się cieplejszego przywitania – powiedział ochryplym metalicznym głosem, powoli zbliżając się do niej.

Joanna chciała odpowiedzieć, jednak przybysz błyskawicznie znalazł się obok niej i wyprowadził w jej kierunku potężne uderzenie, które odepchnęło ją do tyłu. Glevia i miecz ścierały się ze sobą, a uderzająca stal uwalniała wyziewy magicznego ognia. Przybysz zdawał się napierać na nią coraz silniej, aż zaatakował tyłcem glevii, zmuszając ją do rzucenia się w kałużę błota.

– Opór jest daremny. I tak jesteście skazani na śmierć.

– Doprawdy? – wycedziła, ocierając twarz z brudu i krwi.

Odpowiedział jej metaliczny i trzeszczący śmiech. Szybko jednak zamilkł i znieruchomiał.

Jego ryk bólu zmroził jej krew w żyłach. Z otworów w hełmie buchnął jasny żar, a twarz stanęła w płomieniach. Joanna wykorzystała tę chwilę i przyjęła pozycję, pozwalając magii rozlać się po ciele – była jej ostatnią nadzieją. Z oczu sypnęły się iskry, a ona ruszyła na przeciwnika, zostawiając za sobą ogniste smugi. Jego ciosy były coraz silniejsze, jednak dziewczyna unikała każdego. Gdy już chciała zaatakować i zamachnąć się, by wbić ostrze w odsłonięty bark, rywal z nienaturalną szybkością złapał jej miecz i wyszarpnął z jej dłoni. Potem uderzył ją w pierś i odrzucił do tyłu.

Przez moment nie mogła złapać oddechu. Ostry ból w klatce piersiowej nie pozwalał się ruszyć. Leżała w błocie, niezdolna do najmniejszego ruchu. Przed oczami majaczyły jej sylwetki ludzi, próbowali coś jej przekazać, ale ona nie rozumiała ani jednego słowa. Chciała wydać rozkaz, jednak z ust wydobył się tylko

niezrozumiały bełkot. *Czy ja umieram?* Stali nad nią przez chwilę. Potem coś zaryczało, a oni uciekli.

Była skazana na wpatrywanie się w niebo i słuchanie odgłosów walki. Wtedy ktoś ją podniósł. To był on, wielki, zakuty w stal człowiek. Jego dotyk był gorący i pewny, a jej połamane żebra zakłuły paralizującym bólem. Leżała na jego ramionach, wpatrując się w kamienny portal.

Z purpurowej tafli wyłoniła się chmara czarnych kruków o krwiście czerwonych, świecących ślepiach. Gdzieś po drugiej stronie majaczył kształt kreatury tak ogromnej, że Joanna wątpiła, czy w ogóle uda jej się przejść na drugi brzeg. Na tle fioletowej tafli zarysowała się też ludzka sylwetka. Kobieta stanęła na ciele martwego nimroida, trzymając w ręku laskę i kadzielnicę wykonaną z czaszki. Uniosła je wysoko i zaczęła krzyczeć w niezrozumiałym dla niej języku. Wkrótce dołączyły do niej zastępy ogromnych, tłustych mężczyzn, którzy zaczęli wylewać się z fioletowego jeziora.

– Co...

*Co to ma znaczyć?*

– Nie przejmuj się nimi. Uparł się, że musi wrócić na ten świat z przytupem – odpowiedział jej oprawca. Na rogu jego hełmu usiadł czerwonoooki kruk. Ptak zakrakał głośno. Każdy następny element układanki przerażał ją coraz bardziej. – Nie, nie dostaniesz jej oczu – powiedział mężczyzna, odganiając ptaka od siebie. Jego czerwone, małe oczka cały czas zaglądały w jej zamglone spojrzenie.

*Kto... kto ma wrócić... Kruki...*

– Nie... Nie zrobiłeś tego...

Joanna chciała, by to wszystko okazało się snem.

– Ja nie. Ale moja matka już tak. Każdy z nas łaknął zemsty... Chcesz ją zjeść? Całą?

Gdy mężczyzna odpowiedział skrzeczącemu krukowi, kolejne ptaki lądowały na jego barkach i wystających z hełmu rogach. Wszystkie głośno stuknęły dziobami.

*Jak kruki żerują na poległych...* W swojej głowie słyszała tylko tę rymowaną, której nauczyła się jeszcze w dzieciństwie.

– Proszę... łaski... – zdołała wydusić drżącym głosem.

– Dostaniesz ją. – Podniósł jedną dłoń i poruszył palcami, długimi i ostrymi niczym ostrza sztyletów. – Zgadzasz się na nią?

Joanna skinęła delikatnie głową.

Kruki poderwały się do lotu i zaczęły nerwowo dziobać jego pancerz, jednak on nie poświęcił im żadnej uwagi. Długie, stalowe szpony skierowały się ku powiekom Joanny i delikatnie je zamknęły.

– Śpij dobrze.

Chwilę później poczuła je na szyi. Zaciskały się mocniej... mocniej... i mocniej...

# Manto

*Girloy*

Manto delikatnie nacisnął klamkę drzwi, za którymi kryła się jego cela. Wprawione w korytarzowe okna witraże przemyciły do środka nieco światła, rozjaśniając wnętrze małego pokoju. W środku znajdowały się nieduży stół i drewniane krzesło bez oparcia. Na stoliku leżała otwarta wielka księga, drobny kałamarz i nieco wyszczerbione gęsie pióro. *Ta kotara okazała się świetnym rozwiązaniem.*

Nim wszedł do środka, zdjął z głowy wysoką, białobłękitną czapkę. Przed nim nosili ją xiańscy prorocy i prorokinie, dlatego była na niego nieco za duża. Przypominała mu jednak o tym, kim jest, i dlatego niemal zawsze miał ją na sobie.

Błękitne włosy opadły na jego ramiona, współgrając z niebiesko-białą tunicą. Gdy znalazł się w środku, obrócił się na pięcie w lewo i podskoczył do szafy przylegającej do ściany. Wyciągnął z niej wypaloną do połowy woskową świecę i krzesiwo. Potem odłożył wszystko na stół i rozsiadł się wygodnie.

Od razu zaczął porządkować miejsce pracy. Czapkę wsunął pod stół, bliżej zaś przysunął pióro z kałamarzem. Najdłużej zajęło mu rozpalenie świecy, jednak i z tym wreszcie się uporał. *Na czym to ja skończyłem?* Przysunął do siebie girloańską kronikę królewską i zaczął wertować jej kolejne stronicę, wypełnione drobnym, ozdobnym tekstem. *Upadek Leworękiego, początek panowania rodziny Dumidy... Zdecydowanie za daleko.* Przerzucił naraz paręnaście kartek, a potem jeszcze trochę. *No i jest.*

Już na pierwszy rzut oka można było zobaczyć, w którym miejscu to on przejął rolę kronikarza. W porównaniu z tekstami Jerome'a jego litery były koślawe, odstępy nierówne, a linie krzywe. Co prawda stary czarodziej nie wydawał się być niezdolnym z pełnienia tej funkcji, jednak taki był rozkaz Belthora, a z nim nie wypadało dyskutować.

Z czasem Manto naprawdę to polubił. Choć jego teksty były infantylne i rzadko oddawały sens oraz wagę opisywanych wydarzeń, to wcale się tym nie przejmował. Nierzadko wielokrotnie opisywał jedną sytuację, za każdym razem dodając do niej garść nowych informacji. Wiedział jednak, że Belthor miał w tym wszystkim swój interes. *Po prostu nie chcesz, bym zajmował się swoimi badaniami.* Rzucił okiem na ciemną kotarę, do złudzenia przypominającą ścianę, dzielącą pokój na dwie części. *Próbuj dalej.*

*Rok sto siedemdziesiąty szósty Epoki Czempionów,  
Kontynent Morion,  
Królewska Kronika Girloy,  
za panowania Wielkiej Rady Miejskiej, czarodziejów, legatów  
oraz Tana miasta, Gilesa Rivvengarda.*

Zapis ten powstał wiele miesięcy temu, kiedy zakończyła się pora roztopów. Od tamtego czasu w mieście wydarzyło się niewiele ważnych i wartych zapisania rzeczy.

*W roku sto siedemdziesiątym piątym, w trakcie lata, na Wyspie Sztormów utworzył się wielki wir z chmur i błyskawic. Giles rozkazał zbudować na wyspie fort. Z początku zamierzał samodzielnie tam popłynąć, jednak z powodu choroby oraz za radą czarodziejów zmienił zdanie i obstawił posterunek girlońską załogą, na której czele postawił legatkę Joannę.*

Manto na chwilę odłożył pióro, topiąc je w atramencie. Wstał z krzesła i podreptał po pokoju. Miał xiańską urodę i bladą cerę, jaśniejszą nawet niż skóra Eliarów. Choć w rzeczywistości przeżył już ponad trzydzieści lat, wyglądem przypominał dziesięcioletnie dziecko. Już we wczesnym dzieciństwie był wątki i słaby, a kiedy trafił do Girloy, czarodzieje wytłumaczyli mu, że jest najzwyczajniej w świecie chory.

Nagle się zatrzymał, wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Wokół panowała niczym niezmaczona cisza. *Pusto. To dobrze.* Musiał się upewnić, że duchy, które krążyły po akademii, akurat go nie podglądały.

Cichym krokiem ruszył w stronę kotary. Podciągnął ją od dołu i wślizgnął się do swego laboratorium, zapchanego po brzegi przeróżnymi narzędziami,

naczyniami i innym sprzętem. Na każdym z trzech stołów stały stojaki z ampułkami, szkатуły, palniki, woreczki, paleniska, kociołki, a nawet forma do odlewania kryształowych świec. Pod każdym ze stołów leżał niewielki kufer, a ponad nimi, na ścianach, wisiały półki z książkami i pozostałymi elementami jego magicznego warsztatu.

*Zrobię jedną, póki mam czas.* Ze szkатуły wyciągnął woreczek i wysypał jego zawartość. Białe kryształy, nie większe niż orzechy, poturlały się po blacie. Przeliczył je, a następnie przyklęknął, otwierając drewnianą skrzynię, która leżała na ziemi. Wyciągnął z niej długą, metalową łyżeczkę oraz mosiężny spodek. Z kolei z półki przybitej do ściany zabrał worek z liśćmi górskiej róży. Gdy ułożył już wszystko na stanowisku pracy, prześlizgnął się znów pod kotarą. Z szafy, stojącej obok drzwi, wyciągnął bukłak z wodą, a z biurka, na którym leżała kronika, wziął krzesiwo.

*Teraz tylko wymieszać, podgrzać, odcedzić i czekać,* powtórzył sobie w głowie. Liście górskiej róży rwał, a ich gęsty, mętny sok wybierał łyżką i odkładał na metalową podstawkę. Gdy skończył, zapas kwiatu całkowicie się wyczerpał, ale talerzyk był wypełniony miąższem. Przeniósł go wraz z garścią kryształów na kolejne stanowisko, na którym stały palniki z ampułkami. Do każdego szklanego naczynia trafiły jeden kryształ, kilka kropel rózanego soku oraz trochę wody. Zawartość każdej ampułki dokładnie wymieszał, po czym rozpalił palniki. Gdy kryształy nabierały energii, Manto wrócił do pisania kroniki.

*Szalał on tak aż do późnej zimy roku sto siedemdziesiątego szóstego. Kilka tygodni temu wir rozwiął się, a wody wokół wyspy stały się wyjątkowo niespokojne. Joanna stacjonuje na wyspie do dziś. Czarodzieje dokładają wszelkich starań, by zmiana jej oraz podległych jej dowódców trwała jak najdłużej.*

*Ciekawe, czy ta ich kłótnia mogła mieć z tym coś wspólnego?*

Ostatnie zdanie wypowiedział tylko w swojej głowie. Nie powinno i nie znajdzie się ono w egzemplarzu kroniki, jednak musiał pamiętać o każdym, nawet najdrobniejszym szczególe wszystkich historii.

Potem wstał i w paru susach znalazł się pod drzwiami wejściowymi. Przysiadł do nich ucho i nasłuchiwał przez chwilę. *Puściutko. Wspaniale.*

Gdy wrócił do laboratorium, woda już bulgotała. *Gdzie ci się tak spieszy?* Wyciągnął rękę w stronę palników, wykonał szybki gest palcami. Płomienie w jednej chwili zgasły, zdmuchnięte łagodnym powiewem. Każde naczynie po kolei zanosił na ostatnie stanowisko. Tam stał już otwarty kociołek z nałożoną na wieko gęstą, metalową kratką. Dzięki temu ciecz lądowała w stalowym naczyniu, a kryształy zostawały na wierzchu, gotowe do zebrania i wrzucenia do kolejnego kotła, większego i znacznie cięższego. *Zaczynają świecić.* W rzeczy samej, od podgrzanych kryształów zaczynała bić delikatna, biaława luna. Wszystkie trafiły do pustego, żelaznego naczynia. Manto zamknął oczy, zatoczył dłonią wzdłuż wewnętrznych ścian kotła. W środku zaczął wzmagać się wiatr, wyjący i lamentujący, stłumiony przez wieko, które nałożył na kocioł. Zabezpieczył je zatrzaskami, by w trakcie procesu nasycania wicher nie wystrzelił go gdzieś w ścianę albo, co gorsza, mapę, półkę czy naczynie, od których roило się w całym laboratorium.

*Za kilka godzin będą gotowe.* Teraz kronika. Podniósł materiałową kurtynę i zgrabnym ruchem prześlizgnął się na drugą stronę. Usiadł za stołem i wpatrzył się w ostatnią postawioną przez siebie kropkę. Wydawało mu się, że minęły wieki, ale żadne mądre zdanie nie przyszło mu do głowy.

– Dobrze – powiedział sobie z zadowoleniem. *To znaczy, że nie trzeba już nic dodawać.*

Manto siedział jeszcze chwilkę, przeglądając poprzednie rozdziały kroniki. Zza drzwi dobiegały odległe odgłosy kroków uczniów i studentów akademii. *Oby ta przerwa szybko się skończyła. Nie pozwalają mi pracować.* Nagle odgłosy stały się znacznie wyraźniejsze. Ktoś otworzył drzwi jego celi. *Jeśli to znów jakieś żarty...*

– Przepraszam, ale można zapukać...

W drzwiach stanął Belthor, wysoki, nieco gruby czarodziej, podpierający się kosturem z ciemnego drewna, zakończonym ciemnofioletowym kamieniem mocy. Na głowie nosił szeroki kapelusz ozdobiony purpurową wstęgą, o nieco oklapniętym szpicu. Spod niego wyglądała twarz o ciemnych oczach i gęstej, czarnej brodzie sięgającej pasa.

– Wybacz, chłopcze. Następnym razem z pewnością zapukam. – Jego niski głos rozbrzmiał w niewielkiej celi.

Manto zerwał się na nogi, gdy tylko go zobaczył. Nieco przestraszonym wzrokiem wpatrywał się w rektora Akademii Czarodziejów. *Nic nie słyszałem, nic tutaj nie chodziło, nie było duchów...*

– Jak ci idzie pisanie?

Manto momentalnie odskoczył do tyłu, dając Belthorowi więcej miejsca przy kronice. Stary czarodziej niespieszonym krokiem podszedł do biurka i zaczął przeglądać karty kroniki. *Jest fatalnie. Okropnie.*

– Zadowolające – powiedział Belthor, przeczytawszy kilka nowo powstałych rozdziałów. – Skrybowie wprowadzą drobne poprawki, ponieważ te jak zwykle są konieczne, ale jest znacznie lepiej niż... – Przekartkował kronikę nieco do tyłu. – ...„Nad wyspą zaczął wiać silny wiatr, a w pałacu zwołano naradę”.

*Faktycznie to brzmiało gorzej.*

– Staram się ciągle dopracowywać swój styl.

– Cieszy mnie to. Pracuj dalej.

*Co się znowu stało?* Wiedział, że to nie kronika była celem wizyty.

Zanim Belthor przeszedł do sedna, przeczytał jeszcze kilka stron, sięgając po te, które pisał jeszcze Jerome. W pokoju słychać było tylko szelest papierowych kartek.

– Młodziki z Niebiańskiego Zastępu chcą być przeciwczył z nimi podstawowe zaklęcia.

*No nie.*

– Oczywiście – powiedział na głos. – Kiedy...

– Teraz. Na placu treningowym. Circe omówiła z nimi teorię, ale nie ma w tej chwili czasu, a oni potrzebują ćwiczeń. Ostatnie miesiące nie obfitowały w nic wartego zapisania, więc nie powinno wyniknąć z tego żadne nieporozumienie – powiedział i wyszedł z celi.

Manto nie ruszał się jeszcze przez chwilę, bojąc się, że Belthor ciągle czeka pod drzwiami. Dopiero, gdy odliczył w głowie do dziesięciu, przyklęknął przy stoliku. Obmacał przez chwilę blat od spodu, odczepiając swój orli kostur. Była to niewielka laska z białego drewna, zakończona figurą ptaka. Szerokie skrzydła formowały wokół niego półkolistą obręcz. Nim opuścił swój pokój, zerknął jeszcze do kroniki, by sprawdzić, na czym zatrzymał się czarodziej.

*Oktavius, królewski marszałek, wyruszył z miasta z blisko pięćdziesięcioma tysiącami ludzi. Kolejne dwadzieścia tysięcy wymaszerowało z Rivendale i Mudd Hall, by połączyć się z armią królewską i wspólnie ruszyć na Wielki Step.*

*Zaraz po wkroczeniu na tereny Południowego Xin Oktavius i jego generałowie przyjęli zupełnie inną strategię w stosunku do swych poprzedników. Armia minęła Huan Ju i błyskawicznie przesunęła się dalej, odcinając Wrota Stepu od cesarstwa. Kopiec poddał się po trzech dniach bez walki. To właśnie tam mieszkańcy przekazali marszałkowi informację o buncie, zwanym Rebelią Krwawego Księżycy, który opanował zachodnie prowincje cesarstwa, a był skierowany bezpośrednio w xiańskiego cesarza. Po krótkiej naradzie z generałami marszałek Oktavius zdecydował się uderzyć w Mei, serce cesarstwa Południowego Xin.*

Manto zamknął księgę. Pamiętał, co było potem.

Wyjął z szafy i przewiesił przez ramię torbę z księgami i notatkami. Na głowę nałożył czapkę, a w rękę chwycił kostur. Potem opuścił celę i udał się korytarzem w lewo. Z prawej strony padały na niego kolorowe promienie słońca, barwione przez wielkie i piękne witraże. Można było przez nie oglądać dzielnicę akademicką, w której żyli nauczyciele i uczniowie, a dzięki witrażom przybierała ona dziesiątki kolorów. Wyrastały z niej wysokie kamienice i smukłe ceglane wieże. *Girlończycy zawsze pięli się ku górze.* Wśród nich kryły się piękne deptaki pełne drzew, ogrodów, karczm i łaźni. Wszystkie ulice wewnątrz miejskich murów wyglądały niemal tak samo – dumnie i wyniośle.

Ponad kamienicami widać było dwie wysokie wieże strzegące Bramy Freidy. Na ich szczytach płonęły dwa wielkie, błękitne płomienie, z powodu których Girloy nazywano błękitnym miastem. Na te wieże dostać było się niezwykle trudno i choć często próbował, to jeszcze nigdy mu się to nie udało. Marzył jednak, by wznieść się kiedyś tak wysoko, by ujrzeć całe miasto z wysoka.

Same latarnie były jedynie skromnym dodatkiem do całego łańcucha muru Girloy. Choć ten opinał miasto już od ponad wieku, to dzięki niedawnemu remontowi i przebudowie mury miejskie wyglądały niemal jak nowe. To właśnie one strzegły miasta i czyniły z Girloy fortecę niemal nie do zdobycia. Ich strażnice były tak wielkie, że mieściły się na nich ogromne rozpruwacze, balisty tak przerażające, że sam chłopiec nigdy nie chciał ujrzeć ich prawdziwego potencjału.

Manto przeszedł kolejne korytarze oraz klatki schodowe i wyszedł na zewnątrz. Minął akademickie ogrody i udał się prosto na plac ćwiczebny, pośrodku którego rozmawiała niewielka grupka dzieci w niebieskich mundurach

czarodziejów – grubych, białobłękitnych szatach podszytych miękką wełną. Każde miało na głowie szeroki kapelusz ze stożkowatym, opadającym szpicem, ozdobionym białym pomponem.

Na jego widok dzieci umilkły. Niektóre wstały, inne siedziały na piasku, jednak każda para oczu śledziła Manto. Jednym z obowiązków chłopca, poza redagowaniem kroniki, było szkolenie uczniów domeny wichrów i nieba, choć za każdym razem dostawał tylko dzieci. Przy starszych uczniach bowiem sam wyglądał jak dziecko.

Choć lekcja nie trwała dłużej niż pół godziny, jemu i jego podopiecznym udało się zrobić całkiem sporo. Dzieci nauczyły się wzbudzać słabe powiewy wiatru, formować niewielkie wiry czy przerzucać lekkie przedmioty. Manto starał się je chwalić i być życzliwym, lecz w głębi serca czuł smutek. Oczy wszystkich, nawet najmłodszych i najmniej pojętych, dzieci błyszczały za każdym razem, kiedy ktoś rzuciło zaklęcie. Oczy Manta nie zabłysnęły nigdy, choć i on był czarodziejem.

Przerwa miała trwać połowę czasu poświęconego na lekcję. Nie minęło go wiele, a na placu ćwiczebnym i w ogrodach zaroilo się od pozostałych uczniów. Pośród nich najwięcej było młodych Gromowładnych w granatowych szatach, Zielarzy chodzących w zielonych mundurach oraz Władców Ognia, którzy prócz czerwono-pomarańczowych płaszczy wyróżniali się bandażami obwiązanymi wokół dłoni i przedramion.

Manto postanowił wykorzystać nadarżającą się chwilę. *Miałem się nimi zająć i chyba się udało.* Wziął swój kostur oraz torbę i pognał przez plac ku Wzgórzom Wolności. To właśnie na nim przed prawie dwustoma laty wznosił się klasztor pierwszych czarodziejów, obecnie przebudowany na wielkie obserwatorium astronomiczne. Manto wszedł przez bramę ogrodzenia postawionego wokół budynku obserwatorium i skierował swe kroki do wejścia. Otworzywszy delikatnie drzwi, stanął w progu i cicho westchnął. Zaczął powolutku wdrapywać się na górę po setkach brukowych schodów. Na najwyższym piętrze rozciągał się wielki, połączony taras, na nim zaś stał pierwszy zbudowany przez ludzi teleskop, spory, choć zdecydowanie mniejszy niż ten, który znajdował się wewnątrz kopuły wieńczącej obserwatorium. Było to jedno z najlepszych miejsc, poza miejskimi katakumbami, w których zażywał zdrowej dawki samotności.

Zanim wyszedł na taras, wziął ze sobą sporą drewnianą skrzynię stojącą pod jedną ze ścian. Przyniósł ją tam dawno temu i nikt jeszcze nie zorientował się, że

Manto uczynił z tego miejsca mały magazyn. Albo i wszyscy o tym wiedzieli, lecz nikt się tym nie przejął. *Najważniejsze jest to, że nikogo nie obchodzi.* Odrzucił wieko i wyciągnął podłużną, białą kostkę kredy. Zaczął szkicować nią po tarasie spore koło pośrodku, odchodzące od niego cztery linie, również zwieńczone okręgami. Sam nie był pewien, co do końca robi. Takie rysunki widział jednak w księ-dze pozostawionej mu przez ojca, a innych wskazówek nie posiadał.

Świece doniosę, kiedy kryształą nasiąkną mocą. Potrzebowały jeszcze kilku godzin. Potem wyciągnie je, spakuje i będzie gotowy na kolejny cykl, gdyby te już gotowe znowu wybuchły. Nie mógł pozwolić sobie na kolejną taką wpadkę, zwłaszcza że do następnego Nocnego Słońca zostało już niewiele czasu.

Jego cykl był wyjątkowo trudny do przewidzenia. Dla niego liczyło się to, że raz na kilka miesięcy na niebie pojawiała się Nocne Słońce, ogromna gwiazda, która swym blaskiem czyniła noc białą jak za dnia. Girlończycy świętowali wtedy wyzwolenie się spod jarzma bogów i przyjęcie władzy czarodziejów i czempionów. Manto zaś zamykał się na szczycie obserwatorium, dokładając wszelkich starań, by sprowadzić na ziemię uwięzionego boga.

Ojciec zażarcie wierzył, że to właśnie tam, w kuli Nocnego Słońca, więziono Ezekiela, boga niebios i słońca, stwórcę ludzi i ich obrońcę. Manto miał wiele wątpliwości i ani jednej alternatywy, wyciskał więc z siebie siódme poty, byle tylko dowieść prawdziwości tej teorii lub raz na zawsze ją obalić. To szło mu znacznie lepiej.

Zamknął wieko skrzyni i podszedł do teleskopu. Z torby przy boku wyciągnął kartkę z zapiskami i dokończył kreślić według nich runy i symbole starego boga niebios.

Gdy skończył, rozsiadł się na środku tarasu, a ze swojej torby wyciągnął spory notatnik i zaczął kartkować go od pierwszej strony. Cały zawalony był ustawieniami gwiazd pokreślonymi ołówkiem, niektóre kartki były wyraźnie pomięte, inne wyrwane, na innych znajdowały się wyschnięte błękitne krople. *Kiedyś to będą ły szczęścia. Na pewno.*

Manto spojrział w niebo. Teraz wisiało na nim zaledwie kilka chmur. Gwiazda powinna pojawić się za nie więcej niż dwa tygodnie, jednak minie jeszcze sporo czasu, nim w pełni rozbłyśnie. Gdy jej noc była blisko, widać ją było nawet za dnia. Swym blaskiem dorównywało słońcu, a księżyc nikł wśród jej promieni.

*Mógłbyś mi chociaż napisać, jak mam tego dokonać.*

Z ojcowego pamiętnika wyczytał wiele, choć nie znalazł tam żadnych ważniejszych wskazówek. Wiedział tylko tyle, że nie może go zawieść. Tylko tyle i aż tyle.

Nie pogodziłby się z myślą, że wszyscy jego przodkowie żyli i umarli na próżno. Choćby miał to robić do końca życia, nie mógł odpuścić. W końcu odkryje sposób. Przewertował strony notatnika i wrócił do swych zapisków. U góry strony napisał szybko cyfrę: sześćdziesiąt jeden. Kolejna próba. Wkrótce pojawi się tu dokładna analiza wszystkich istotnych czynników, od wagi kryształowych świec po intensywność opadów i siłę wichrów.

W końcu przygotował wszystkie rubryki i tabele. Teraz musiał już tylko czekać. Gdy kryształy wzmacniające dojrzeją, będzie mógł poczynić kolejne przygotowania i uformować z nich świece. Czas ich przygotowywania był niezwykle ważny. Warzone zbyt krótko nie nabiorą mocy, za długo zaś ulegną zniszczeniu, a przynajmniej tak wyczytał w szkolnych podręcznikach. *Pamiętaj, jeszcze trzy godziny i musisz je zdjąć*. Na zmianę z poruszającymi się obłokami obserwował zegar słoneczny, wykonany na samym skraju tarasu, nieopodal teleskopu.

Promienie słońca przyjemnie muskały go po twarzy, Manto zamknął oczy. Wyobrażał sobie swój sukces, jakkolwiek mógłby on wyglądać. Czy niebo pękłoby na pół? Czy też może...

– Widziałam, jak tu wchodzisz... – Spokojny głos dotarł do jego uszu i aż podskoczył ze strachu. Szybko też obrócił głowę do tyłu. – ...I nie spodziewałam się ujrzeć niczego innego.

– Jejku, dlaczego zawsze musisz chodzić tak cicho?

– Wybacz, ja już tak mam.

Fakt, Vivian potrafiła chodzić bardzo cicho. Zdarzało jej się nachodzić go znienacka, a on dalej nie zdążył się do tego przyzwyczaić.

Uspokoił się i znowu spojrzął w niebo, a później na notatnik. Dziesiątki kombinacji i żadna nie zadziałała. Nigdy. *Ale będę próbował*.

Vivian była Eliarą, dziewczyną o jasnobłękitnych oczach i bladej skórze, która wyróżniała tę rasę. Stworzyli ich najpotężniejsi czarodzieje, by służyli ludziom słowem, myślą i ciałem. Ich białe włosy często przecinały pasma innego koloru, czerni, czerwieni, zieleni czy błękitu. Tylko najszlachetniejsi Eliarowie mogli poszczycić się całkowicie białymi włosami. Włosy Viv były białoróżowe, długie i delikatnie falujące. Ubrana była w swe codzienne szaty, srebrzystobiałą tunikę sięgającą delikatnie pod kolana, zaś na nią narzuconą miała kamizelkę z białej wełny. Zwieńczeniem były wysokie, skórzane buty ocieplone białą, puchatą wełną.

– Ja naprawdę cię podziwiam. Bo widzisz, na twoim miejscu dawno bym już odpuściła. Zwłaszcza że w zasadzie to, co robisz...

– Tak, wiem, że to zabronione i tak, wiem również, że Belthor najchętniej spaliłby mnie na stosie usypanym z moich map. – Kartkował notatnik do tyłu, bez większego celu przyglądając się rycinom, które i tak znał niemal na pamięć. *Ale z jakiegoś powodu ciągle tego nie zrobił.* Manto nie wierzył, by nie znalazł nikogo lepszego do spisywania dziejów miasta czy uczenia młodych dzieci. *A więc dlaczego?*

– Wiesz, masz dużo wspólnego z bogami i ty najlepiej zdajesz sobie sprawę z tego jak bardzo. „Gdybyś widział to, co ja. Mało nie doprowadzili do zniszczenia tego świata, a ty jeszcze chcesz ich ocalić?” – Czarodziejka zaczęła parodiować kroki Belthora, karcąc chłopca i udając wyjątkowo zaawansowany reumatyzm, co było wyraźną przesadą, Belthor bowiem, mimo podeszłego wieku, trzymał się wyjątkowo dobrze. A jednak, i tak udało jej się go rozśmieszyć.

– Całkiem nieźle ci idzie, wiesz – powiedział pociesznym głosem Manto. – Gdybyś włożyła ten jego stary płaszcz, to może bym cię nawet z nim pomylił.

– Oj, daj spokój – zachichotała Vivian. Przysiadła obok niego i wpatrywała się w niebo. Patrzyli w nie razem dłuszą chwilę.

– Myślisz, że ci się uda?

Milczał.

– Wiesz dobrze, ile ryzykujesz. Ta akademia cię potrzebuje. Najlepiej żywego.

– Nie przyszedłem na ten świat, by służyć akademii.

*Nie zawiodę mych przodków. Poza tym wcale mnie nie potrzebuje.*

– Ale teraz jesteś jej członkiem. Dlaczego cały czas patrzysz w przeszłość? – Dziewczyna chwyciła go za ramię i rzuciła mu zatroskane spojrzenie.

– Bo czuję, że muszę to zrobić. Gdzieś głęboko w sobie... Nie wiem, jak to nazwać.

– Chciałabym ci pomóc, gdybym to rozumiała, Manto.

Chłopiec oparł głowę o jej ramię. *Robię to, bo muszę.* Ale dlaczego w zasadzie musiało? Na to pytanie nie znał innej odpowiedzi niż ta, która wyryła się na jego sercu. *Muszę go ocalić. Po prostu.*

– Nie wiem, czy jest co rozumieć, Viv. To była nasza misja, od kiedy tylko powstaliśmy.

– Wasza? – zapytała Eliara.

– No, niebiańskich proroków. Pamiętasz?

– Och, rzeczywiście, jak mogłabym zapomnieć.

O historii zapisanej w kronice, opowiadającej o podziale ludzi, słyszał chyba każdy. Gdy bogowie zostali pokonani, a do objęcia władzy przez girloańskich czempionów zostało jeszcze kilka lat, doszło do rozłamu w szeregach czarodziejów. To właśnie wtedy oczy ludzi ponownie zwróciły się w stronę dobrych bogów, prawdziwie dostrzegając w nich bezpieczną opokę w niepewnych czasach. I choć żaden z nich do tej pory nie przemówił, to modły ludów przyniosły owoce, kiedy to ponad sto pięćdziesiąt lat temu na rozległych stepach Xin przysłała na świat pierwsza dziewczynka o włosach koloru nieba. Manto był ostatnim z jej krwi.

– Gdyby tylko nam się udało, Viv, cały świat mógłby się odmienić, a ludzie wreszcie przestaliby się nawzajem wybijać.

– Chciałabym, żeby tak było, Manto – powiedziała zatroskanym głosem, kładąc rękę na jego ramieniu. – Ale niestety, taka jest już nasza natura. Musimy cieszyć się tym, że Podmokłą Przełęcz omijają wojny. Bogowie niczego nie zmieniają.

*Mylisz się, Viv. Zmienił wszystko.*

– A teraz muszę uciekać na zajęcia. Kiedy skończę treningi z moimi Tancerkami, jakoś cię znajdę. A ciebie proszę z całego serca, nie wystawiaj się za bardzo i uważaj, bo i tak już podpadłeś Radzie. – Eliara wstała i poprawiła strój.

*Chciałaś powiedzieć Belthorowi. Reszty nie obchodzi.*

– Dobrze już dobrze, obiecuję. – Manto delikatnie uśmiechnął się i pomachał ręką w geście pożegnania.

Vivian uczyniła to samo i prędko zeszła na dół.

Chłopiec siedział na tarasie jeszcze przez chwilę, myśląc o tym, co powiedziała Eliara. Cały świat trawiły wojny. Na Żelaznej Pustyni rycerskie zakony toczyły ją z wolnymi ludami dziewięciu plemion. Kupcy z Narrovind przynieśli wieści o wymarszu drakarckich wojsk. Kolejna wojna z cesarstwem była kwestią czasu.

Spojrzał w niebo, później na teleskop. Schował notatnik do torby i dokładnie ją zapiął. Na jego twarzy pojawił się poważny uśmiech, a oblicze napełniło się wyrazem nadziei.

*Wybacz, Vivian. Wybacz, ale nie ma innej drogi.*

Zszedł z tarasu i już miał skierować się w stronę schodów, kiedy obrócił się i ostatni raz spojrzał do góry.

*Kiedyś mi się uda. Uwolnię cię, Ezekielu. A wtedy na całym świecie zapanuje pokój.*

Wzgórze, na którym stało obserwatorium, było idealnym punktem obserwacyjnym. Usiadł na jego zboczu, podciągnął nogi pod klatkę piersiową i rozpoczął swoje rutynowe obserwacje.

Przerwa dobiegła już końca, a dzieciaki, które jeszcze przed chwilą okupowały plac, rozchodziły się do budynków akademii. Pozostała na nim nieduża grupka uczniów w różnym wieku, nie młodszych niż osiem i nie starszych niż czternaście lat. Wszyscy mieli na sobie błękitne, spiczaste kapelusze oraz grube płaszcze, przepasane wąskimi paskami z białej skóry. Niektórzy trzymali w rękach opasłe tomy, inni zaś schowali je do toreb, które mieli przerzucone przez ramię.

Dzieci podzieliły się na liczne grupy, w których prowadzono ożywione dyskusje. Co jakiś czas mijali ich inni uczniowie, w granatowych, czerwonych, zielonych czy żółtych płaszczach. Manto zobaczył nawet Audrey, jedną z nauczycielek, która, tak jak Vivian, była Eliarą. Weszła do Krużganka, mijając Viv, która właśnie weszła na plac. Zamieniły ze sobą kilka słów, po czym lodowa czarodziejka udała się na swoje zajęcia.

Manto pozostał na zboczu wzniesienia. Zapewniało mu to naprawdę dobry widok. Jeśli wycęży słuch, będzie też słyszał rozmowy. *A jeśli nie, to podejść bliżej.* Grupka młodych Lodowych Tancerzy ustawiła się dwójkami. Vivian przywitała się z nimi i zaczęła rozmawiać ze swoimi podopiecznymi. Od kiedy opuścili domy, by szkolić się na czarodziejów, była dla nich niemal jak matka.

– No dobrze, kochani. Wydaje mi się, że możemy już zacząć. – Rozmowy ucichły, a Manto słyszał już tylko ją. – Dzisiaj będziemy wiązać magię w nieco potężniejsze zaklęcia niż ostatnio. Pamiętajcie zatem, że teraz należy zachować wyjątkową ostrożność. Isamirze, zaczniemy od ciebie.

Jeden z wyższych chłopców podszedł do czarodziejki i poprawił kapelusz. Wyprostował się i stanął przed Viv.

Manto był zbyt daleko, by zrozumieć ich rozmowę. Widział jednak, co wydarzyło się dalej.

Isamir stanął w delikatnym rozkroku. Później wyciągnął przed siebie dłoń, a jego oczy zaświeciły słabym, błękitnym światłem. Potem wszystko działo się już tak, jak zwykle. Wokół ręki chłopaka zatańczył biały wir, który wypluł ze swych macek chmurę długich, lodowych ostrzy. Te przeleciały kilkanaście metrów, po

czym wpadły z impetem w słomiane manekiny. Będzie potrzebne więcej siana. *Patyków zresztą też.*

Kolejni uczniowie podchodzili do Viv entuzjastycznym krokiem. Z minuty na minutę przybywało słomianych trupów, które regularnie były rozczłonkowane lodową nawałą. Wreszcie spośród garstki tych, którzy nie mieli jeszcze okazji się wykazać, Eliara wybrała niską i drobną dziewczynkę. Widząc to, Manto wstał ze wzgórza i ruszył w ich stronę. *Teraz będzie ciekawie.*

Petrę znali chyba wszyscy. Mała, niepozorna, przede wszystkim jednak nieprzewidywalna. Wywołana przez Vivian dziewczynka w kilku skokach znalazła się przy nauczycielce. Wymieniły kilka zdań, których Manto nie usłyszał. Domyślał się jedynie, że zaraz zaczną się niezły pokaz.

Dziewczynka zmrużyła oczy i wyteżyła wszystkie siły. Widać było, że pragnie skupić całą myśl na zaklęciu. Gwałtownie wystawiła rękę przed siebie, ale nic się nie wydarzyło. Zaczęła nią nerwowo trząść, patrząc na nią z wyrzutem, jakby była uszkodzonym narzędziem. Syknęła, skrzywiła się i pokonana opuściła ręce.

Dłuższą chwilę stała z opuszczoną głową. Vivian złapała ją za ramię. Na twarzy dziewczynki malował się gniew i niemoc. Manto wmieszał się w tłum uczniów i słyszał już wszystko bardzo dokładnie.

– Wdech, wydech, spokojnie kochana. – Kojącym głosem szeptała nauczycielka, klękając obok niej.

Oddech dziewczynki stawał się coraz głębszy i spokojniejszy. Rozluźniła ręce, rozprostowała palce, stanęła w nieco szerszym rozkroku. Jej wyraz twarzy stał się bardzo poważny, niepodobny wręcz do dziecięcego. Vivian delikatnie otarła kciukiem łzę, która spłynęła dziewczynce po policzku.

– Jest zimna, Petro. Wierzę w ciebie – pocieszała nauczycielka. Wreszcie Vivian wstała i zrobiła krok do tyłu. *Dawaj, mała.* Mała była nieco wyższa od niego.

Petra gwałtownie otworzyła oczy, które zaiskrzyły się bielą z domieszką łagodnego błękitu. Wystawiła prawą nogę do przodu, a jej ręka skierowała się w stronę kukieł. Wokół dłoni dziewczynki wirowały kryształowe lodu i płatki śniegu. Zaczęła się delikatnie trząść, luźne palce dziecka złożyły się w pięść. Petra zacisnęła zęby i wskazała palcem w stronę kukieł. Jej oczy błysnęły niebieskim światłem, a z wirującej wokół dłoni chmury wyleciała nawała sopli, które runęły na słomianych przeciwników. *Teraz na pewno będzie potrzeba więcej stojaków.* Z kukieł nie zostało prawie nic.

Wiele sopli poleciało jednak dalej, wlatując do ogrodu. Ten w czasie zajęć powinien być pusty, jednak pośrodku stała wielka, marmurowa figura ryczącego smoka...

Manto, Vivian, Petra i wszyscy pozostali jednocześnie skrzywili się, gdy z ogrodu dobiegł trzask kruszącego się kamienia. Petra powoli obróciła się w stronę Vivian. Jej oczy cały czas skrzyły się lodem i śniegiem. Cicho syknęła, po czym wyszeptwała coś do swojej nauczycielki.

– No... załatwiłaś wszystkich. – Vivian starała się nieco ją rozweselić. Zdradziła się, gdy zaczęła drapać się po głowie, łapiąc kłęby białoróżowych włosów. *Jest źle.* Viv zawsze tak robiła, gdy się denerwowała. Nagle do głowy przyszedł mu pewien pomysł, widząc w tym swoją własną okazję.

– Belthor pewnie się zdenerwuje...

*Belthor i tak już wie, Petro. Nawet to, co jadłaś na śniadanie. On wie wszystko.*

– Pomówię z nim, nie przejmuj się. – Vivian pogłaskała tulącą się do niej dziewczynkę.

– Petra została prawdziwą łowczynią smoków! – radośnie krzyknął Manto, gdy podszedł bliżej. Niektórzy obrócili się zaskoczeni w jego stronę, jednak nikt nie podzielił entuzjazmu chłopca. *No to zaczynamy.* – Spokojnie, ja to załatwię – dorzucił po chwili. – Przejdę się do kamieniarzy. Oni zrobią nowego, lepszego smoka. Prawdziwego. – *Co za głupiec myślał, że smoki mają skrzydła?* – Załatwimy to, zanim Belthor zdąży się wściec.

– Mógłbyś to zrobić? – W głosie Eliary wybrzmiała ulga.

– Jasna sprawa. Daj mi chwilę – powiedział chłopiec, po czym wsadził rękę do torby. Kiedy wymacał w niej sakiewkę z pieniędzmi, uśmiechnął się. – Pójdę od razu.

Ładne oczka, słodki głosik. To zawsze jest takie proste.

\*\*\*

Manto minął bramy akademii, przy których stała dwójka strażników, arkanów Władców Ognia. Ponad ich głowami w kamiennym murze widniał nieco zatarty napis.

*Ty nas stworzyłaś, Ty nas prowadzisz.*

Chłopiec poklepał swoją torbę i podciągnął jej rzemyczek nieco wyżej, potem odwrócił się na pięcie. Powolnym krokiem ruszył przed siebie, oglądając i podziwiając piękno ulicy Żłotej.

Na trakcie nie było dużo ludzi. Wzdłuż brukowanej ścieżki wznosiły się wysokie kamienice, zbudowane z cegieł, marmuru czy kamienia. Wiele z nich porastały zielone gałęzie bluszczu. Na parterach i niższych piętrach mieściły się nieduże sklepy, winiarnie i karczmy, wyżej mieszkali ich właściciele.

Ulica ciągnęła się dosyć długo. Znajdowały się na niej dwa piękne place z dużymi fontannami, na których zawsze siedziały i bawiły się dzieci, czemu towarzyszyła muzyka ubranych w kolorowe stroje minstreli, siedzących w cieniach wielkich drzew rosnących wzdłuż drogi.

Manto dotarł wreszcie do miejsca, gdzie Złota łączyła się z Zachodnim Traktem, a ten, nie licząc paru zakrętów, prowadził prosto na główny rynek miasta. Tu ludzi było już znacznie więcej. Byli to przede wszystkim kupcy i podróżnicy, zmierzający do największego i najwspanialszego miasta na świecie. Co jakiś czas można było napotkać strażników miejskich, których długie włócznie falowały ponad tłumem.

Manto trzymał się ścian budynków, by nie zgubić się w tej rwącej rzece ludzi. Choć starał się nie przyciągać uwagi, mógł równie dobrze spróbować ukryć rozpaloną żagiew w kupie suchej słomy. Jego wysoka czapka i xiańska uroda przyciągały spojrzenia gapiów, które czuł na sobie. Ci, którzy pochodzili ze stepów, wytrzeszczali oczy na jego widok i szeptali pomiędzy sobą, jednak znaczna większość pochodziła ze starych girloańskich prowincji, a tam wiara w bogów już dawno została wypleniona.

Skręcił w prawo, później w lewo. W tym miejscu trakt prowadził przystarym budynku więzienia. Manto zawsze nasłuchiwał głosów ze środka, zza krat, jednak odgłosy ulicy zawsze go zagłuszały.

Szedł przed siebie szybkim krokiem. Jakaś grupka ludzi patrzyła w jego stronę, Manto widział to doskonale. Starał się nie zwracać na to uwagi, a gdy zaczęli się śmiać, zacisnął zęby i przyspieszył kroku. Wtedy ujrzał na bruku niewielki kamyk o gładkich brzegach i wielu kolorach. Zauroczony jego pięknem, kopał go aż do momentu, kiedy znalazł się na głównym rynku.

Podniósł głowę i rozglądnął się wokół. Na tym obszernym placu było jeszcze więcej ludzi niż na trakcie, ale Manto był na to gotowy. Miejskie rynki zawsze pękały w szwach o niemal każdej porze dnia.

*Sto kroków do przodu, lekko w prawo, przy drzewie w lewo, potem już prosto.*

Z gracją przemieszczał się naprzód, starając się omijać mieszkańców i kupców. Kilka razy prawie wpadł pod wóz, jednak kończyło się to tylko na łańcuszkach

przekleństw skierowanych pod jego adresem. Rozpogodził się, kiedy z tłumu wyłoniła się wielka brzoza o niemal idealnie białej korze, naznaczonej tylko kilkoma czarnymi pęknięciami.

*Nareszcie.* Manto w jednej chwili doskoczył do otaczającej drzewo niskiej kratki. Zacisnął na niej dłonie i powoli okrążył ją w lewo. Gdy natrafił na niewielkie wyszczerbienie, obrócił się i ruszył przed siebie. Przyspieszył, gdy dostrzegł sztyld sklepu zielarskiego. Tłum zaczął się przeredzać, a on nareszcie dotarł do celu.

Z ulgą pociągnął klamkę i po chwili znalazł się wewnątrz. Już od progu przywitały go regały wypchane po brzegi sprzętem laboratoryjnym, grubymi księgami, setkami różnych sadzonek, rzadkich i pospolitych. Od razu przeszedł do oględzin towarów. *Górska róża... górska róża. Aha, tutaj jesteś.* Manto stanął na palcach i zdjął z galerii glinianą donicę, w której rosła sadzonka. Jej kwiat był białoszary, łodyga gruba i pokryta rzadkimi, dużymi kolcami, a wielkie liście ugiwały się pod ciężarem soków, które się w nich znajdowały.

Zmierzając do lady, natknął się na dwójkę dzieci. Były tylko nieco wyższe niż on i nosiły czerwono-pomarańczowe stroje. Rudowłosa dziewczynka i ciemnowłosy chłopiec nie zwrócili na niego uwagi, w zamyśleniu przyglądając się regałom. Manto cicho zakradł się za ich plecy. Jego oczom ukazała się galeria pełna srebrnych woreczków, w których znajdowały się czyste, nienasycone kryształy mocy.

– Tych nie kupujcie – odezwał się, wskazując na te wysunięte po lewej. – W Iron Peeks nie ma dobrych kopalni, a ziemia jest zanieczyszczona żelazem, miedzią i cynkiem. Tamtych też nie. W Torsen wydobywają marmur, a kryształy są zbierane przy okazji. – Nieraz natknął się w nich na marmurowe kostki, co było dla niego niemałym zawodem.

– Skąd wiesz? – zapytała dziewczynka, wyraźnie zaskoczona jego obecnością.

– Kupuję je. Jeśli chcecie coś dobrego, weźcie te ze Stone Hold albo Ergensgradu. Tam w wydobywaniu wkłada się serce. – Wziął jeden woreczek do wolnej dłoni i ruszył dalej, zostawiając za sobą zdumionych uczniów.

Przy ladzie siedział zgarbiony staruszek, na oko siedemdziesięcioletni. Jego skóra była ciemna i pomarszczona, dłonie kościste, a twarz smutna. Rozweselił się jednak, gdy tylko zobaczył chłopca.

– Oczy mnie nie mylą?

– W żadnym razie – odpowiedział Manto, wykładając towary na stół. Był jednym ze stałych bywalców tego miejsca.

Starzec bez słowa przyglądając się artykułom, pogrzebał pod ladą i wyciągnął spod niej strzępek papieru i cienki, zaostrowany rysik.

– Obciąć ci liście? – zapytał, gdy skończył notatki.

– Bardzo proszę.

Mężczyzna sięgnął po krótki nożyk i delikatnymi ruchami pozbawił kwiat wielkich, ciemnych liści. Zawinął je w czarny materiał, a donicę z kwiatem postawił na stojącym za nim kredensie.

– Pięć sreber za całość.

Manto pogrzebał w torbie, wyciągnął z niej mieszek i odliczył kwotę. Potem spakował wszystko i pożegnał staruszka.

W drogę powrotną udał się tym samym sposobem. Gdy jednak dotarł do brzozy, z prawej strony usłyszał głośnie krzyki. Ludzie zaczęli się tam tłoczyć i krzyczeć radośnie, a pomiędzy ich wrzaskami przemykał odgłos stali. Obrócił się zatem na pięcie i skierował w drugą stronę. *Na pewno już i tak wiedzą o mojej nieobecności. Co to zmieni, jeśli zejdzie mi... nieco dłużej?*

Ułożywszy sobie krótkie usprawiedliwienie w głowie, ruszył na drugi rynek. Ten był znacznie większy, choć niemal w połowie zajmowało go niskie wzgórze, na którym wznosił się pałac rady. Była to wysoka, monstrualnych rozmiarów budowla wzniesiona z białego i niebieskiego kamienia. W jej centrum wznosił się potężny donżon, zwieńczony wielką, błękitną kopułą. Od wschodu, zachodu i południa budowlę otaczały trzy mniejsze wieże, pod którymi rozciągały się mury i zabudowania. Chociaż wzgórze nie było wysokie, do pałacu prowadziła prawie setka białych stopni, a od północy rozciągał się w dole ogrodzony dziedziniec wraz ze stajniami i koszarami straży, nie wspominając o wyjątkowo urokliwych ogrodach.

Manto ruszył na górę, mijając siedzących na schodach ludzi. Z każdym kolejnym stopniem było ich coraz mniej, aż wreszcie znalazł się sam. Z wysoka miasto wyglądało jeszcze piękniej. Szpiczaste dachy porastały zielone pnącza traw, a na basztach Wrót Sztormu płonęły dwa ogromne, błękitne płomienie. Gdzieś w dole krzyczeli ludzie. Spora grupka zebrała się wokół dwóch pojedynkujących się zapaśników. Niektórzy pewnie postawią na nich swe złoto. *Ciekawe, kto wygra ten pojedynek?* Zarówno przez pierwszy, większy rynek, jak i drugi nieustannie przetaczały się kolumny handlowe prawie z całego kontynentu.

Dawno przyzwyczaił się do hałasu, który nigdy nie opuszczał tego miasta. Nawet nocą ludzie tłoczyli się tu, by bawić się, pić i ucztować. Dzień w dzień i noc w noc, Girloy pod tym względem się nie zmieniało.

Chłopiec siedział i oddychał rześkim powietrzem, chłodny wiatr poruszał jego włosami, a on sam wreszcie poczuł odrobinę spokoju. Nie trwało to jednak długo.

Wtedy, daleko w dole, coś przykuło jego uwagę.

Od południowych wrót miejskich na rynek wjechała niewielka kolumna jeźdźców. Ponad ich głowami powiewał błękitny proporzec z sześcioramienną spiralą, symbolem Girloy. Jeźdźców nie mogło być więcej niż sześciu, jednak narobili sporego zamieszania. Ludzie usuwali się im z drogi i krzyczeli, gdy tamci już przejechali. Jeźdźcy odpychali wszystkich od siebie, pędząc na koniach, kompletnie ignorując fakt, że na rynku znajdowała się cała masa ludzi. Zatrzymali się dopiero pod schodami pałacu.

Na górę weszło tylko dwóch. Każdemu ich krokowi towarzyszył brzdęk stali. Manto odsunął się na bok, dając im przejść. Byli ubrani w czarne kolczugi i błękitne opończe. Ich stroje były brudne od krwi, a gdy przebiegli obok, zostawili za sobą odór śmierci. Manto poczuł, że kręci mu się w głowie. Gdy się otrząsnął, widział już ich plecy, przez które przewieszzone mieli spore pawęże. Niewiele myśląc, ruszył za nimi. *Kronikarz chyba musi wiedzieć, co dzieje się w mieście, prawda?*, przekonał sam siebie, kiedy to ciekawość stała się silniejsza niż uczucie strachu.

Jemu podróż na szczyt zajęła nieco dłużej. Pilnujący wrót szermierze z batalionu Dao prowadzili intensywne rozmowy z żołnierzami, którzy chcieli dostać się do środka. Korzystając z zamieszania, podszedł bliżej. Wtedy właśnie straż otworzyła drzwi i wprowadziła żołnierzy do pałacu. Manto miał chwilę na to, by wejść i schować się za najbliższym pomnikiem. Wykorzystał swoją szansę najlepiej, jak tylko mógł, choć szermierze stali tyłem zaledwie kilka sekund.

Gdy drzwi na powrót się zamknęły, Manto wyślizgnął się zza figurę nieznanego wojownika. Trzech mężczyzn szło do sali Rady, a echo uderzających o kamienną posadzkę butów niesło się po całym holu pałacu, po którym krążyli zaciekawieni ludzie.

# Giles

## *Girloy*

Ponad białymi ścianami i kolumnami sali Rady górowało sklepienie kopuły. Przedstawiono na niej sceny ze Świętej Wojny, końca starej i początku nowej epoki. Pod nią znajdował się Mały Morion, mapa całego znanego świata. Niebieski piach rozsypano w miejsce wód, ląd stanowiła ziemia pochodząca ze wszystkich zakątków kontynentu. Miniaturowe drzewka układały się w lasy, a spiczaste kamyki w łańcuchy górskie. Miasta i kopce zbudowane były z maleńkich kostek, a po całym kontynencie wałęsały się drewniane figurki żołnierzy.

Stół, na którym ułożony był Mały Morion, wykonano z ciemnego, dębowego drewna. W jego ramie znajdowało się wiele skrzyneczek i otworów, w których przechowywano kostki, pozostałe pionki, rozkładane drewniane szczypce, listy, mapy, a nawet wina i kielichy.

Nad nim wisiał złoty żyrandol, na którym płonęły świece. Kiedy żółte krople wosku spadały na Mały Morion, usuwano je drewnianymi szczypcami, które zazwyczaj wykorzystywano do przesuwania drewnianych żołnierzy. Giles pamiętał jeszcze lata swej młodości, kiedy po całej mapie kroczyły całe zastępy drewnianych wojsk. Dziś były to zaledwie pojedyncze przypadki, do których dochodziło przede wszystkim na pograniczach Cesarstwa i Drakartu oraz północnych rubieżach ziem Czarnych Rycerzy.

Cała sala wspierała się na sześciu marmurowych kolumnach ukształtowanych na podobieństwo dębowych pni. Ich głowice wykonano na kształt liści, które z czasem rozrastały się na znaczną część całego wnętrza. Na każdej z kolumn wisiał sztandar jednego z wielkich rodów czempiońskich oraz proporzec Akademii Czarodziejów.

Giles czytał właśnie kolejny raport. Na stołowej ramie, wśród dwóch figurek włóczników, leżała sterta kartek i notatnik obity skórą. Były to raporty i skargi

bogatych obywateli, kupców i szlachciców. Raz na jakiś czas przysługiwało im prawo wypowiedzenia się o swych problemach i dolegliwościach dotyczących miasta, by usprawnić jego funkcjonowanie. Giles zaś, jako Tan, miał obowiązek ich wysłuchać.

Następna notatka pochodziła od właściciela Złotej Perły, który narzekał na szerzącą się plagę szczurów w jego winiarni. *Zgadzam się z tobą, nawet nie wiesz, jak bardzo*, pomyślał, czytając jego skargę. *Wyróżnąc te wszystkie małe, przebrzydłe, cuchnące gryzonie*. Odruchowo zacisnął pięść.

Giles był dwudziestoczteroletnim, niewysokim mężczyzną. Miał krótko ścięte kasztanowe loki, twarz zmęczoną, gładką i szczupłą oraz błękitne oczy. Ubrany był w lekką, błękitną tunikę, a z ramion opadał mu czarny płaszcz spięty srebrną spinką.

Zapisał kolejną uwagę w notatniku. Być może kiedyś uda mu się wreszcie załatwić je wszystkie, choć do osiągnięcia tego celu z pewnością potrzebowałyby jednego z Kamieni Życia.

Postanowił wyjść na balkon i się przewietrzyć, nim znów przeczyta o spóźnionej dostawie żywności czy pękniętym kole. Obszedł stół wokół i udał się na taras, gdzie rosły równo przycięte krzewy o pięknych kwiatach i niewielkie drzewa. Giles oparł się o barierkę i wyjrzał na dziedziniec, położony u podnóży pałacowego wzgórza, gdzie rozwijały się ogrody. Wśród brukowanych ścieżek i alejki drzewek wiśniowych rozmawiały Josie Crimblade i Raelynn Laverbridge, obie ubrane w suknie w kolorach wielu odcieni błękitu. Żona Duane'a Crimblade'a trzymała przy piersi swoją małą córeczkę Susannę, która przyszła na świat kilka miesięcy temu. *Jeśli z Megan uda nam się syn, pewnie zostanie jego żoną*.

Bramy dziedzińca bronili szermierze Dao w łuskowych zbrojach o wyniosłych kołnierzach i wysokich, spiczastych hełmach. Ich zmiennicy szli właśnie wzdłuż białych murów dziedzińca. Gdy stanęli naprzeciw siebie, jednocześnie uderzyli się w pierś, po czym zmienieni ruszyli z powrotem do garnizonu. *Racja, chłopcy. Nie ma czasu na przerwy*.

Gdy wrócił do sali, zaklął w myślach. Przez ciemne dębowe wrota wsunęła się postać ubrana w kolorowy, szmaciany strój. Towarzyszył temu odgłos małych, miedzianych dzwoneczków.

– Jaśnie wielmożny, przybyłem sprawdzić, czy kłopoty naszych cudownych obywateli nie zaprowadziły cię już na inny świat? – zachichotał, przeskakując z nogi na nogę.

*Spierdalaj, Jerry*.

– Bywały ciekawsze dni, ale jak widzisz, dalej tu jestem. Dzieciaki poszły spać? – zapytał, podchodząc do Małego Morionu i biorąc do ręki kolejne zapiski. *Ktoś pobił się w oberży na Kołowrotków... Znowu szczury? Czy w tym mieście został jeszcze jakiś szczurołap?*

– Iris jest dziś zajęta. To dla mnie bardzo duży cios.

Że też to właśnie tu zdecydowałaś się przyjść. Nie było tajemnicą, że Iris Crimblade lubiła pałacowego błazna, czego Giles przez wiele lat nie był w stanie zrozumieć. Jak się jednak okazało, Jerry’emu równie łatwo przychodziło pierdolenie głupot, jak i uroczym, niewinnych dziewcząt. *Jeśli jakimś cudem temu idiocie udałoby się wtargnąć w czempioński ród...*

– A nie myślałaś może nad tym, by wystawiać swoje przedstawienia na ulicach? Miasto już wkrótce umrze z nudów.

Kolejny raport dotyczył bójki w burdelu w północnej dzielnicy dokerów. Jeden z zainteresowanych stracił trzy palce, drugie ucho, a trzeci zyskał drugi, czerwony uśmiech na szyi. *To miejsce idealne dla ciebie. Poza tym trzeba będzie zwiększyć częstotliwość patroli.*

– Ależ przeznaczone mi służyć najszlachetniejszym sercom, mości najjaśniejszy – odparł Jerry.

Błazen działał mu na nerwy. *A to, że po drodze do serca nadziewasz się na cycki, to tylko przykry szczegół.* Giles musiał jednak przemilczeć swą odpowiedź. Prawdą było, że gdyby nie Jerry, dzieci jego dalekich kuzynów, ciotek i wujów lażyłyby po całym pałacu, a wtedy nie byłby w stanie wykonywać żadnej pracy.

Jerry pomaszerował w stronę kredensu, ukrytego za kolumną, i nalał sobie kielich białego wina. Potem wrócił i śpiewał, robiąc przerwy na kolejny łyk. Giles wystawił do niego dłoń, nie odrywając się od czytania. Gdy kielich znalazł się w jego dłoni, wziął krótki łyk i oddał puchar Jerry’emu.

*Szło pięć panien w noc gwieździstą*

*Drogą szeroką*

*I zmusiły mnie bym na nich*

*Zawiesił oko*

Błazen uwielbiał tę pieśń. Jeśli mu wierzyć, sam był jej autorem, choć co do tego Giles nie miałby żadnych wątpliwości.

*Pierwsza z nich, ta złotowłosa  
Nózkę długą ma  
I powabnie swoje dłonie  
Kładzie na biodra*

Mimo krzyków Jerry'ego Giles usłyszał delikatne skrzypnięcie i czyjeś ciche kroki. Zdecydował się jednak nie obracać, nie chcąc spłoszyć błazna, sam zaś domyślił się, kto to mógł być.

*Biorę ją więc w swe objęcia  
Noc będzie cudna  
Jeśli uda się dziewicy  
Rozłożyć uda*

Gość stanął tuż za plecami błazna. Kobieta miała na sobie czarno-błękitną suknię z białymi wstążkami, kontrastującymi z miedzianą skórą. Jej duże, ciemne oczy wpatrywały się prosto w Gilesa, a uśmiech na twarzy rósł z każdym następnym wersem.

Jerry wychylił kielich do dna i obrócił się, by przynieść sobie kolejny. Niemal wskoczył na Mały Morion na widok Megan.

– Przyniesi mi wina, arlekinie – powiedziała szeptem. – I bądź tak miły nie śpiewać swych cudownych ballad tak głośno. Wszędzie cię słyhać.

Jerry wykonał polecenie bez mrugnienia okiem, po czym wybiegł z sali cały czerwony na twarzy.

– Widzisz? Przestraszyłaś go, a ja chciałem usłyszeć zakończenie – rzucił Giles.

– Ten idiota śpiewa to tak często, że i tak już je znasz – powiedzieli naraz.

Meg stanęła przy nim i razem czytali zażalenia.

– Co trzecie dotyczy szczurów, a co czwarte bójek na przedmurzu – zauważyła jego żona, biorąc w dłonie pliczek odłożonych na bok kartek.

– Wysyłaliśmy już szczurołapów, by zajęli się tymi gryzoniami. Laberbridge'owie sami zaoferowali, że coś z tym zrobią.

– Ile razy coś robią, tyle razy nie dopinają tego do końca – wtrąciła Megan, biorąc łyk Białego Grima. Później bez słowa podała mu kielich, by mógł zwilżyć podniebienie.

– Przez chwilę był spokój, ale potem i tak wróciły. Zawsze wracają.

– A te rozruchy na przedmieściach?

Giles milczał przez chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

– To głównie starcy i ich zwolennicy, którym nie podoba się obecna sytuacja w mieście. Niektórzy skrycie spiskują przeciwko Radzie, a inni, jak widać, otwarcie głoszą swoją nienawiść.

– Taki sam problem jak ze szczurkami?

– Prawie – odpowiedział Giles, biorąc do ręki notatnik i zapisując uwagę dotyczącą uszkodzonego pomnika jednego z Lewiatanów, który stracił kawałek ogona. *Całe szczęście w portach nie mają takich problemów jak my tutaj.* – Szczury to zwierzęta, ale przez te rozruchy zaczynają ginąć ludzie.

– Niech William pogoni swoich chłopców i zrobi z tym porządek. – Megan przeczytała kolejny raport, po czym ruszyła powolnym krokiem, by dolać sobie wina. – Zapisz, że jakaś panna z przybytku na Zachodnim Trakcie zaraża klientów. Takie rzeczy mogą się dziać na prowincji, a nie tutaj, do tego w obrębie murów.

Giles bez słowa zanotował uwagę. Całe szczęście nie trzeba będzie długo szukać chętnych do tego, by przebadać miejskie dziwki. *Trzeba to powiedzieć Jerry'emu. Będę miał co najmniej tydzień spokoju.*

Meg zmieniła trunek na Czerwoną Różę. Z przyjemnością wychyli nieco wytwornego albińskiego wina. Jego smak był słodki, a przy tym wino nie uderzało zbyt do głowy.

Rozległy się uderzenia do drzwi – najpierw dwa wolne, potem cztery szybkie. Hasło oznaczało, że ktoś pilnie chciał pomówić.

– O, ciekawe, kto to? – zainteresowała się kobieta, nie odwracając głowy od Małego Morionu.

– Zaraz się dowiemy... Wejść – krzyknął bez wahania Giles.

W drzwiach stanął szermierz Dao. Na czubie jego spiczastego hełmu powiewał błękitny pióropusz.

– Gilesie – zaczął dowódca batalionu gwardzistów nieco zdyszany.

*Biegł, pojął Giles, a to nie zdarza się tu często.*

– Zac. – Giles odwrócił się w jego stronę.

Megan podążyła jego śladem.

– Ktoś oczekuje na audiencję? – dokończył Giles.

– Żołnierze z Wyspy Sztormów.

To go zaskoczyło.

– Oni? Nikogo nie zmienialiśmy...

– Ocaleńcy – wtrącił Zac Crimblade jeszcze bardziej zaniepokojony.

Giles zastanawiał się przez chwilę.

– Wpuść ich.

Gdy Dao zniknął, spojrzenia jego i Meg się skrzyżowały. Jego żona też zrozumiała, że stało się coś poważnego.

Żołnierze stanęli w drzwiach kilka chwil później. Mieli brudne twarze, ich błękitne opończe kleiły się od błota i krwi, a pancerze były poszarpane i powgniatane. Żaden nie chciał zacząć. *Są dezertarami i cholernie dobrze zdają sobie z tego sprawę.* Biorąc pod uwagę karę, jaka na nich czekała, Gilesa nie zdziwiły ich związane języki.

– A więc? – zapytał wreszcie, przerywając denerwujące milczenie.

– Musieliśmy – rzucił nagle jeden.

– Co musieliście? – zapytała z zainteresowaniem Megan.

– Ostrzec. Ostrzec wszystkich. Znaczący, ona powiedziała tylko, żeby ostrzec – kontynuował ten sam żołnierz. Przypominało to raczej ostatnie słowa skazańca. Giles musiał dowiedzieć się więcej.

– Nie czeka was śmierć. Przyrzekam na Radę i swój ród – rzekł Giles. *Może to wam nieco pomoże.*

Nie mylił się.

– Wszystko tam się poszło jebać – powiedział drugi niemal histerycznym głosem. – Broniliśmy się przy każdym forcie. Palisada się rozpadła od tych deszczy, trakty zniknęły, deszcz lał cały czas, a ich było za dużo. Atakowali przez bramy, przez mury, niektórzy nawet spadali z nieba.

Giles spojrzał niepewnie i podszedł bliżej. Żołnierz był od niego niższy niemal o głowę. Gdy przyjrzał się bliżej jego twarzy, doszedł do wniosku, że wiek dorosłości osiągnął przed kilkoma miesiącami.

– Zac, zaprowadź go do jakiejś wolnej komnaty i dopilnuj, by doprowadził się do porządku. Możesz wziąć kogoś ze służby do pomocy.

Mężczyzna skinął głową, zarzucając błękitnym pióropuszem, po czym pomógł młodemu chłopakowi wyjść z sali i zejść na dół po schodach.

– Zatem zacznijmy jeszcze raz. Od początku – zwrócił się do pozostałego w sali człowieka.

– Chłopak ma rację – odpowiedział zapytany.

Baczenie mu się przyglądając, Giles doszedł do wniosku, że rozmawiał z długoletnim weteranem.

– Kilka dni temu przyszedł kolejny sztorm. Taki, jakich było już wiele. Nikt nic nie przypuszczał, nic specjalnego się nie działo. Dopiero w nocy, kiedy spadły błyskawice, niebo zrobiło się białe i huczało jak tysiąc trąb. Wszystko waliło w kamienne wrota, które znaleziono dwie zmiany temu.

– Zabezpieczyliście je zgodnie z instrukcjami?

– Próbowaliśmy, ale deszcze niszczyły wszystko, co wznieśliśmy. Zresztą, każdy obóz miał taki problem. Palisady się waliły, lepianki zapadały. Siedzieć można było tylko w namiotach. Było się mokrym, ale przynajmniej nie tonęło się w błocie.

– To już wiadomo – wtrąciła Megan.

Giles skarcił ją spojrzeniem.

– Opowiedz, co się stało – kontynuowała kobieta.

Żołnierz niepewnie spojrzał w oczy Gilesa. Ten skinął głową. *Masz rację, Meg. Konkrety.*

– Portal został otwarty. Te... Te błyskawice go uruchomiły, tak to wyglądało. Chłopaki z trzeciego obozu byli już na miejscu, czwarty też chyba tam był. My przybiegliśmy na końcu, ale i tak zaraz musieliśmy uciekać. Stawialiśmy opór w każdym obozie, jaki był po drodze, ale nie dało się ich obronić. Gdy zostało nas nie więcej niż trzystu, młodszy legat Kane wziął połowę i został w pierwszym obozie. Reszta pobiegła ze starszym portowym Rodneyem na barki. Jego barcę coś zatopiło po drodze, ale czterem udało się dopłynąć do portu wojennego na kontynencie.

*Cztery barki zmieszczą stu dwudziestu ludzi.* Giles, pamiętaj swoje rozkazy, choć Rada starała się go odciągnąć od tak gorliwego angażowania się w sprawy korpusu ekspedycyjnego. *Pięć obozów i dwa porty. Wysłano już załogi. Kwatera dowództwa, cztery kwatery strażników, portowi...*

Dwa tysiące trzysta. Za tą liczbą kryło się dwa tysiące trzysta ludzi, którzy z jego rozkazu stacjonowali na Wyspie Sztormów. Według jego najlepszych wyliczeń pozostało stu dwudziestu.

– Z kim walczyliście? – Giles pozwolił sobie ochłonąć.

– Z czym nie walczyliśmy?

Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała Gilesa. Na szczęście jego rozmówca nie poprzestał na tych słowach.

– Ludzie z całego świata. Nawet z Girloy. Rozpoznałem też paru czarnych rycerzy, pamiętam ich z Loren, kiedy byłem u ciotki, ale reszta była kompletną mieszanką. I wszyscy byli martwi.

W tym momencie Gilesowi wydało się, że to jest żart.

– I ludzie. I potwory. Były tam nimroidy, zgnilce, kolconogie i ciskacze. Było też coś większego, ale biegliśmy już między drzewami i nie przyjrzelśmy się temu dokładnie – dokończył żołnierz.

– Możesz to opisać? – zapytała Meg.

– Trudno ci to będzie zrozumieć, pani...

– Widziałam potwory, o których mówisz. Na Żelaznej Pustyni siodła się nimroidy, a do zgnilców strzela z harpunów. Gniazda kolconogich wypala się girloańskim ogniem. Wiem, jak wygląda potwór.

Te informacje wprawiły żołnierza w niemałe zakłopotanie, ale go przekonały.

– Był wysoki, bardzo wysoki. Miał z sześć rąk, albo i więcej. I rogi. Długie rogi. I dwie głowy. A jego ryk... ścinał krew w żyłach.

*Czyli może być gorzej.*

– Umarli i potwory. To wszystko w ciągu jednej nocy – podsumował Giles, starając się nie brzmieć niedorzecznie.

– To nie wszystko.

*No tak, oczywiście, pomyślał Giles, kiedy tamten mówił.*

– Było tam jeszcze coś. Ktoś. Wysoki i masywny, przynajmniej tak go zapamiętałem. Stał się z legatką Joanną, kiedy włączyliśmy się do walki. Potem rzucił nią jak szmacianą lalką i ruszył, żeby ją dobić. Chcieliśmy jej pomóc, wyciągnąć ją stamtąd, ale ona tylko wyszeptwała, byśmy was ostrzegli. Uciekliśmy, a gdy się odwróciłem, leżała martwa na jego rękach. Potem Kane...

Mówił jeszcze przez jakiś czas, ale Giles już go nie słuchał. *Joanna nie żyje.* Te słowa rozbrzmiewały w jego głowie, gdy wbijał puste spojrzenie w Megan, gdy upuścił na ziemię kielich, rozlewając czerwone wino na marmurowej posadzce, gdy z furią trącił drewniane żołnierzyki, przy okazji niszcząc pięknie ułożone fale Wielkiego Morza Południowego.

*Joanna nie żyje!* Utopiła się we własnej krwi, a on nic nie mógł zrobić. Po wojnie domowej, która rozszarpała jego rodzinę na strzępy i rozrzuciła po całym

Morionie, w Girloy pozostał tylko on. On i Joanna. Tak samo młodzi, przestraszeni i zagubieni. Razem przeżyli całe dzieciństwo i młodość. Nim poznał Megan, to właśnie Joanna była najbliższą mu osobą, traktował ją niemal jak rodzoną siostrę.

A teraz ona nie żyła.

*Powinienem wtedy popłynąć. Zamienić ją!* To powinien być on. Joanna nie zasłużyła na taką śmierć. Nie zasłużyła na to, by przez półtora roku gnir w błotach Wyspy Sztormów, poświęcać życie na służbie na końcu świata, a teraz zwieńczyć to w taki sposób.

*Joanna nie żyje. Moja ukochana siostrzyczka...*

Megan obejmowała go, szepcząc mu do ucha. W sali zostali już tylko oni. Giles zorientował się, że oczy zaszyły mu łzami. Oparł swoją głowę na jej barku.

– To... to nie powinno tak wyglądać.

Nie wiedział, ile czasu zajęło mu dojście do siebie. Stał oparty o żonę, wlepiając spojrzenie w Wyspę Sztormów. Cokolwiek tam było, cokolwiek przyszło na ich świat, cały czas tam pozostawało, żerując na trupach ludzi, których sam tam wysłał. *Nie, to się tak nie skończy.*

– Trzeba zwołać Wielką Radę. Wszyscy, którzy mają w tym mieście coś do powiedzenia, muszą się na niej stawić.

– Zajmę się tym – odpowiedziała bez namysłu Megan. – Posłańcy wkrótce wyruszą do akademii i Szkoły Legatów. A ty doprowadź się do porządku i przygotuj. – Ucałowała go w policzek, po czym wyszła.

*Gdyby to było takie proste,* pomyślał Giles.

Zastanawiał się, co powie, gdy czarodzieje i czempioni ze szlacheckich rodzin zjawią się przy tym stole. Sam nie wiedział, czy konieczne jest zwoływanie Wielkiej Rady. Impuls był jednak silniejszy niż jego umysł. *Trupy nie przepłyną cieśniny. A nawet jeśli, to Mary Read ich powstrzyma.* A jeśli nie? Wspomnienia z czasów inwazji Gavaina Chromego były ciągle żywe, jakby ten koszmar wydarzył się wczoraj. A potem wyobraził sobie martwą Joannę. *Przedmurze już raz splotęło. Nigdy więcej.*

Czekało go naprawdę trudne spotkanie. Zanim zdąży ochłonać, przy Małym Morionie zbiorą się już wszyscy, włączając w to czarodziejów. Czasu miał niewiele.

Zamyślony, nie zorientował się, kiedy obok niego stanęło dziecko w białobłękitnych szatach i wysokiej czapce. Wyglądało na niepewne i wlepiło w Gilesa dwoje błękitnych oczu.

– A ty? Co tu robisz? – zapytał nieco zdenerwowany. Od razu rozpoznał czarodzieja. *To przez nich ona nie żyje.*

– Ja...? Byłem akurat na schodkach, kiedy ci... kiedy oni przyszli. Strażnicy mnie wpuścili i słuchałem...

Chłopiec miał bladą cerę i błękitne włosy. Nie było wśród nich bieli, więc z pewnością nie był Eliarem. A skoro nie był Eliarem...

– To ty jesteś tym xiańskim kapłanem, prawda? – dociekał Giles.

Chłopiec przytaknął głową.

Pośmiewisko akademii. Słyszał o nim kilka historii, głównie z ust Theodora Hallsteina, centuriona Pancernych Strażników, swojej osobistej gwardii. Hallstein romansował z Vivian, członkinią rady, a ta bardzo lubiła chłopca. Starzy czarodzieje mieli o nim zupełnie odmienne zdanie. Giles nie mieszał się w ich knowania względem niego, przede wszystkim dlatego, że sam nie był czarodziejem. *Chyba czas coś zmienić.*

– I co usłyszałeś?

– O wyspie... o kłopotach. I jak tak słuchałem... chcesz coś zrobić. Zaczy tak mi się wydaje.

– Mów dalej.

Manto wydał się trochę śmielszy.

– Chcesz ich powstrzymać. Pokonać, chyba... No i tak myślałem, i opisałbym to wszystko...

Giles spojrział najpierw na niego, a później na Wyspę Sztormów, usypaną ze żwiru i złotego piachu, na jej lasy z suchych gałązek i wzgórze z kamieni.

– Jesteś czarodziejem, prawda?

– No, w zasadzie to tak.

– W zasadzie?

Manto cały czas się jękał. Trzeba było to z niego wyciągnąć.

– Jestem... czarodziejem niebios...

– Akademia ma swoich wykładowców w tej dziedzinie.

– Ale Circe się nie nadaje – odgryzł się pewnie, niemal ze złością. – Ja jestem znacznie lepszy.

Życie nauczyło go, że w sytuacji zagrożenia nie należało przebierać w środkach. *To kwestia czasu, zanim te bestie zechcą pokusić się o zasmakowanie naszego kontynentu...*

– Skoro tak mówisz... Myślę, że będziesz miał okazję udowodnić swoją rację.  
.. *A ja dopilnuję, by połamały sobie na nim zęby.*

# Spis treści

## Prolog

Nim rozpoczął się sztorm	9
Manto	19
Giles	37
Belthor	48
Giles	66
Manto	76

## Część I

### Kraina Wojny

Manto	87
Oktavius	97
Vivian	112
Belthor	119
Charles	129
Manto	138
Oktavius	154
Vivian	164
Giles	172
Belthor	186
Charles	195
Vivian	206
Manto	214
Oktavius	221
Giles	238

Charles	256
Vivian	263
Oktavius	270
Manto	284
Belthor	294
Oktavius	302
Zdrajcy	320
Pettyfer	336
Giles	350
Manto	359
Charles	370
Vivian	377
Pettyfer	386
Manto	395
Zdrajcy	404
Pettyfer	414
Vivian	425
Charles	431

## Epilog

Pokonany	447
----------	-----

# Dziedzictwo Królów

## Część I

# Kraina Wojny

*Morion, rok 176 epoki Czempionów*

Czempioni, ludzie obdarzeni pierwiastkiem boskiej mocy, od prawie dwóch wieków stanowią opokę prawa i symbol siły całego Morionu.

To w cieniu ich potęgi ludzkość ożyła, zagoniona pod ziemię przez Świętą Wojnę. Czempiońskie rody, miecz i tarcza świata żywych, zawiedli swój lud dalej, niż ktokolwiek kiedykolwiek mógł to sobie choćby wyobrazić, lecz okupili to straszliwą ceną.

Wśród własnych knowań, intryg, wojen i zrad już wkrótce będą zmuszeni zmierzyć się z zagrożeniem, które ogniem i żelazem sprawdzi, czy na pewno są godni powierzonego im daru.